

Jadwiga Rochnowska

Aż do skonczenia świata...



Jey T.R.

Aż do skończenia świata

© Copyright by
Jadwiga Rochnowska (Jey T.R.) & e-bookowo
Zdjęcie na okładce: Diana Wójcik

ISBN 978-83-7859-144-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Aż do skończenia świata

*W życiu najważniejsze jest to, co jeszcze przed nami.
Najważniejsza jest miłość, przyjaźń i dążenie do celu
w realizacji marzeń.*

*Jedno już spełniłam, choć samej trudno mi w to uwierzyć.
Jestem pisarką! Nareszcie odnalazłam swoją drogę!*

*Jako że to pierwsze wydanie jest nieco niezwykle,
chciałabym zadedykować tę książkę:*

Jakubowi (Anioły i cuda istnieją naprawdę.

Wyzdrowiejesz! Jestem tego pewna!),

*Jego Tacie — Hubertowi (który powinien zyskać
przydomek „Niezlomny” ze względu na nieustrudzoną
walkę, którą toczy),*

*Mojemu Mężowi (z przeprosinami za to, że całe poranki
spędzam przed komputerem)*

*oraz mojemu synowi — Adrianowi (będącemu cudem,
który właśnie mnie się przydarzył...)*

Specjalne podziękowania

*dla Diany Wójcik za podarowanie zdjęcia na okładkę
i dla Krzyśka za korektę.*

PROLOG

*Widziałam wczoraj anioła
Jak siedział na skale ze spuszczoną głową...
Miecz swój oparł o kamień, sandały swe rzucił obok
Patrzył w dal błędnym wzrokiem, i nie było nikogo,
Kto położyłby mu dłoń na ramieniu
tylko hen w górze, nad urwiskiem
krzyk mew się unosił
A niebo przybrało barwę popiołu...*

*Fale podchodziły coraz bliżej
Spienione, głośnie, niespokojne
A on patrzył w dal
Jakby w otchłani chciał znaleźć odpowiedź
Czy warto być aniołem?
Nie miałam śmiałości podejść
Był tak bezbronny, kiedy złożył skrzydła...
Lecz chyba usłyszał mój oddech...
Odwrócił się w moją stronę
Lekko skinął mi głową
Uśmiechnął się jeszcze na koniec
i... zniknął z następną falą, która o brzeg się rozbiła
... nie wiem... zdążył odlecieć?
... Czy nigdy go tam nie było...*

...

Szpital tonął w ciszy.

Spali chyba wszyscy oprócz niej.

Helena nie była już młoda. Zniszczona przez życie i kolejne porody leżała teraz na łóżku, pojękując cicho, a jej wielki brzuch unosił się i opadał przy każdym kolejnym z trudem łapanym oddechu. Bóle trwały zbyt długo, aby miała siłę pomyśleć o dziecku.

Przeżyje, czy nie... co to za różnica? W domu było już jedenaścioro do wyżywienia. Czasem brakowało na chleb, więc może to i lepiej, gdyby maleństwo umarło? Nie zaznałoby przynajmniej biedy.

Kolejna fala bólu kazała jej kurczowo uchwycić się kołdry. Gdzieś z zakamarków jej świadomości wyłoniła się straszna myśl:

— A jeśli teraz umrze?

Nie, nie! Nie wolno tak myśleć! Przecież ma dla kogo żyć. Zamknęła oczy. Ból jakby trochę zelżał. Nagle jednak pokój, w którym leżała, wypełniło łagodne światło, zupełnie tak, jakby w środku nocy poprzez zasłonę czerni przedarł się jaskrawy promień słońca. Jak przez mgłę zmęczone oczy kobiety dostrzegły pojawiającą się tuż obok niej postać — zrazu niewyraźną, potem coraz wyraźniejszą

„Niemożliwe!” — pomyślała. „Przecież to anioł!”

— Czy ja umieram? — szepnęła.

Ten jednak pokręcił głową, uśmiechając się lekko, i położył dłoń na jej brzuchu.

— Nie bój się — rozległ się jego łagodny głos. — Nie

będzie już bolało, obiecuję...

I nie bolało, nic a nic. Po prostu w pewnej chwili panującą dotąd ciszę przerwał donośny płacz noworodka, a niezwykle przybysz odetchnął, najwyraźniej zadowolony z przebiegu wydarzeń.

— To dziewczynka! — powiedział, kładąc maleństwo przy piersi matki i zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Jego miejsce zajął inny — poważny, choć pełen ciepła. Wziął małą na ręce i zanim ponownie oddał ją matce, szeptął jej do ucha jakieś sobie tylko znane tajemnice (może to, aby nie zapomniała o wieczności?), a jego skrzydła załśniły wszystkimi barwami tęczy.

To dziwne, lecz z bólu czy też z innej przyczyny Helena nie czuła strachu, widząc obok siebie anioły. Wiedziała też, że to nie sen, czuła przecież ciepło bijące od maleńkiego ciała, słyszała każdy oddech córeczki... Patrzyła jednak na to, co działo się wokół niej, i nie wiedziała, jak ma się zachować.

Nagle tuż obok nich pojawił się trzeci anioł, ale na jego widok kobietaomal nie wybuchła serdecznym śmiechem. W szacie sięgającej ledwie do kolan, brązowych kapciach i okularach na nosie niebiański wysłannik wyglądał niemal groteskowo. Zza szkielew drucianych oprawkach spoglądały na nią zielone oczy, włosy w odcieniu mysiej sierści sterczały na wszystkie strony, jakby od wieków nie widziały grzebieńa, a jedno z jego skrzydeł wyglądało tak, jakby przed chwilą przytrzasnął je drzwiami.

— Jesteś wreszcie, Rafaelu! — zgromił świeżo przybyłego anioł o tęczowych skrzydłach. — Gdzieś Ty się podziewał, utracjuszu? Znow grałeś w karty o duszę?

Twarz rozczochrańca rozjaśnił promienny uśmiech.

— No! Grałem... i wygrałem! — zawołał buńczucznie, ukazując przy tym dwa rzędy bielusieńkich zębów.

— Ja i Gabriel musieliśmy odwalić za ciebie całą robotę, inaczej mała umarłaby jak nic! — nie ustępował pierwszy z aniołów.

— Spóźniłem się tylko trochę — bagatelizował. — Poza tym świetnie poradziliście sobie beze mnie!

— Nie złość się, Tristanie... — dodał prosząco. — Spójrz na nią! Czyż nie jest śliczna? — zapytał, przyglądając się dziecku.

Choć w spojrzeniu Tristana pojawiła się czułość, prychnął poirytowany.

— Mówisz tak za każdym razem, przyjacielu! Czy ty aby nie próbujesz odwrócić mojej uwagi?

Okularnik przybrał niewinną minkę i pewnie zamierzał zripostować, kiedy niemowlę przypomniało im o swojej obecności, poruszając się lekko.

— No, na mnie już pora! — rzekł Tristan, klepnąwszy Rafaela w ramię.

Zanim jednak odleciał, zwrócił się do Heleny:

— Dbaj o to dziecko, kobieto. Kochaj je i naucz miłości, ale pamiętaj, nie dziw się niczemu, co będzie dotyczyć twojej córki. Tak wyszło, że anioł stróż twojej małej spóźnił się do porodu. W normalnej sytuacji dziecko by nie przeżyło, ale nam na niej właśnie zależy. Dlatego nie byle kto pomógł jej przyjść na świat! Gabriel... jest jednym ze strażników bramy. Ja zaś nazywam się Tristan i strzegę wielkiej pieczęci. Jestem strażnikiem wiedzy i wszelkich tajemnic. Jako jedyny z aniołów znam przeszłość i przyszłość ludzkości. To ja dokonuję zapisów w Świętej Księdze. Z pewnych względów twoja córeczka

jest mi szczególnie bliska i dlatego otrzyma ode mnie dar. Jaki to dar, dowiedzie się w odpowiednim czasie. Zanim jednak odejdę, pragnę cię jeszcze o coś poprosić.

Zawiesił głos, a kiedy kobieta spojrzała wyczekująco, zbyt onieśmielona, aby mówić, zapytał:

— Czy pozwolisz mi nadać jej imię?

Skinęła głową, a wtedy anioł podszedł ponownie do łóżka, i biorąc dziecko na ręce, przytulił je z wielką czułością. Poglądził delikatnie jej policzek, na co mała odwróciła główkę w odruchu ssania.

— Nadaję ci imię Stella — rzekł uroczyście, a jego głos zdrzął niczym liść na wietrze, ale była to jedyna oznaka targającego nim wzruszenia. — Godność ponad wszystko!

Oddał więc małą matce i przybrawszy na powrót postawę pełną dostojeństwa, zniknął bez żadnego ostrzeżenia.

— No! Pora obudzić położne! — zawołał Rafael, zacierając ręce, i już po chwili po żadnym z aniołów nie było nawet śladu.

Personelowi oddziału położniczego trudno było zrozumieć, co zdarzyło się tamtej nocy. Dość, że wyrwana z głębokiego snu położna, wchodząc na salę, zastała tam dziwny widok: zakrwawiona, wycieńczona kobieta leżąca na łóżku porodowym tuliła do siebie śpiącego spokojnie noworodka. Pępowina była odcięta i zawiązana, a sądząc z wyglądu maleństwa, dziewczynka czuła się dobrze. Gorzej było z jej matką. Na nieme pytanie pielęgniarki zdołała tylko szepnąć:

— Pomogły mi anioły...

Po czym straciła przytomność.

Później jej słowa rzucono na karb szoku i nikt nigdy nie dociekał, co mogło się stać. Wręcz przeciwnie. Z obawy przed niezdrową sensacją starano się jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie. Niemniej jednak chyba w całej historii tego oddziału nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś miał tak dobrą i troskliwą opiekę, jak Helena i jej córeczka.

Szpital opuściły dopiero po dwóch tygodniach, gdy matka doszła do siebie na tyle, aby mogła wrócić do domu.

Przez wiele lat nie działo się nic szczególnego. Pomimo skromnych warunków Stella, otoczona miłością, rozwijała się szybko i była zdrowa. Jej bliskich dziwiły tylko czasem jej umiłowanie do samotności i niezwykła wrażliwość na piękno przyrody czy krzywdę. Czasem zdawało się im, że dziewczynka, widząc cierpienie jakiegokolwiek stworzenia, cierpi razem z nim — i tak było w istocie. Nikt jednak nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Kiedy zaś w wieku piętnastu, szesnastu lat rówieśnice Stelli chodziły do dyskotek i umawiały się z chłopcami, ona godzinami włóczyła się po górach albo ślęczała nad jakąś książką.

To akurat nie martwiło jej rodziców. Miała dobre stopnie, zawsze była miła i chętna do pomocy. Miała też duszę społecznika. Czasem tylko koleżanki ze szkolnej ławy dokuczały jej, mówiąc że jest kujonem, a w ogóle to jest jakaś dziwna. W gruncie rzeczy jednak Stella wiodła całkiem zwyczajne życie, aż do dnia swoich osiemnastych urodzin. Dnia, w którym wszystko się zmieniło...

Budził się świt.

W małym pokoiku na poddaszu było czysto i przytulnie, chociaż bardzo skromnie. Stella mieszkała w nim od roku, od dnia, w którym opuściła dom. Jej rodzicom nie było lekko, tym bardziej, że byli już w podeszłym wieku, a dziewczyna bardzo chciała się dalej uczyć. Liceum ukończyła z wyróżnieniem i to o rok wcześniej, niż jej rówieśnicy! Teraz zaczęła studiować biologię.

Wczoraj otrzymała wiadomość o przyznaniu jej przez uczelnię stypendium dla wybitnie uzdolnionych uczniów i był to najpiękniejszy prezent, jaki mogła otrzymać w dniu urodzin. Do tej pory chwytiała się wszelkich dorywczych prac, by opłacić chesne i zarobić na stancję. Niewiele jednak udało się jej zarobić, a przecież rodzice nie mogli jej pomóc. Matka nigdy całkowicie nie doszła do siebie po trudnym porodzie. Z początku opowiadała coś o aniołach i tęczyowych skrzydłach, aż w końcu znajomi zaczęli podejrzewać, że jest niespełna rozumu, dała więc sobie spokój. Czasem tylko, kiedy patrzyła na swoją najmłodszą córkę, w jej spojrzeniu pojawiała się bezgraniczne zdumienie. To ona zaszczerpiła w dziewczynie miłość do wszystkiego, co żyje.

Ojciec zaś przez wiele lat pracował w hucie. Najczęściej od rana do późnego wieczora, aby zapewnić względny byt swojej rodzinie. Nigdy nie było go w domu, gdyż nawet w dni wolne od pracy szukał dodatkowych zajęć. To odbiło się na jego zdrowiu — nie był już tak silny jak dawniej. Był jednak człowiekiem honoru i dbał o rodzinę na tyle, na ile pozwalały mu warunki. Zawsze też powtarzał, że

wykształcenie, jeżeli jest solidne i idzie w parze z ciężką pracą i uczciwością, stanowi klucz do spełnienia marzeń i sukcesu. Stella wiedziała, że to prawda.

Miała siedem siostr i czterech braci. Używane buty i ubrania, stare zabawki — nigdy jej to nie przeszkadzało, ale bywały dni, kiedy marzyła o tym, aby mieć coś swojego... tylko swojego. Tym czymś był dla niej właśnie dyplom uczelni. Jako jedyna z rodzeństwa zaszła tak daleko. Jej siostry kolejno wychodziły za mąż, bracia, biorąc przykład z ojca, kolejno zatrudniali się w hucie, aby utrzymać swoje rodziny, a ona chciała czegoś innego — chciała się uczyć. Zamieszkała więc pod Wrocławiem, aby nie zaprzepaścić być może jedynej szansy, jaką zesłał jej los.

Tego dnia, kiedy rankiem otworzyła oczy, zadziwiło ją ciepło jesiennego poranka.

Dziś były jej urodziny...

„Jesienna dziewczyna” — mawiał o niej ojciec w tych rzadkich chwilach, kiedy pozwalał sobie na odrobinę czułości. I było w tym stwierdzeniu coś z prawdy, choć nie chodziło tu jedynie o delikatną smutną urodę Stelli: jej brązowe włosy szare oczy ani brwi wygięte niczym odlatujące jaskółki w łagodny łuk. Nie! To nie tylko to!

Była w niej jakaś subtelna melancholia, coś jakby tęsknota, a jednocześnie całe pokłady niewykorzystanego ciepła i miłości. Trudno to opisać słowami...

Wstała z łóżka i już chciała zacząć się ubierać, gdy jej uwagę przykuł nagły ruch gdzieś w kącie pokoju. Odwróciła się z uśmiechem, pewna że to kot gospodyni wdarł się nocą do jej pokoju, lecz uśmiech zamarł na jej ustach, gdy dotarło do niej, że tym, co widzi wcale nie jest puszysty zawadiaka tylko... anioł!!!

I na Boga! Gdyby nie dwoje skrzydeł niedbale zwisających z jego ramion, w życiu nie domyśliłaby się, z kim ma do czynienia!

Przybysz przeciągnął się leniwie, na wpół leżąc na komodzie, na której najwyraźniej spał, po czym zaczął czegoś gorączkowo szukać wokół siebie. Po chwili uśmiechnął się szeroko, wyciągając zza błękitnego wazonu stare powykrzywiane okulary w drucianych oprawkach. Wytarł je rąbkiem przykrótkiej tuniki i założył na nos, po czym zamaszystym ruchem ręki przeczesał sterczące we wszystkich kierunkach włosy. Zamierzał chyba zeskoczyć z komody, najwyraźniej uznając, że dopełnił obowiązku porannej toalety, kiedy nagle zauważył zdziwioną minę Stelli.

— Kim jesteś? — zapytała, a on rozejrzał się nerwowo po pokoju, jakby chciał sprawdzić do kogo mówi.

— No, więc? Kim jesteś? — powtórzyła.

— To ty mnie widzisz??? — odpowiedział pytaniem na pytanie

— Chyba tak... choć nie jestem pewna, czy to nie sen... Jej gość sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę uciec.

— Jestem aniołem — szepnął zakłopotany

— Tyle wiem! Ale skąd się tu wzięłeś?

— Jestem twoim aniołem stróżem! Byłem z tobą od

zawsze — odparł nieco urażonym tonem. — Nazywam się Rafael.

— Jak to się stało, że cię widzę? Do tej pory niespecjalnie wierzyłam w anioły...

— Wiem... — Rafael smutno pokiwał głową. — To przez to, co mówią o twojej matce. Zaraz, zaraz... kiedy przychodziłaś na świat, pomagali ci Tristan i Gabriel. Tristan powiedział, że otrzymasz od niego szczególny dar... No tak!

Anioł pacnął się otwartą dłonią w czoło, aż plasnęło.

— Tym darem jest możliwość widzenia mnie! No, no, no! — biegał wokół niej jak uradowane dziecko. — Ależ ty masz szczęście! Od wieków zdarzył się taki jeden, no, może dwa przypadki! Ale czemu mnie nie uprzedzili? — zatrzymał się w pół kroku. — O mały włos zgubiłbym okulary albo dostał zawału serca, gdy zorientowałem się, że mnie widzisz!

— A co ja mam powiedzieć? Zresztą! Anioły nie miewają zawałów — wtrąciła, na próżno próbując opanować śmiech, po czym szybko uniosła rękę, aby powstrzymać szalony słowotok Rafaela.

— Spokojnie! Usiądź wreszcie z łaski swojej i opowiedz mi, kim są Tristan i Gabriel, o których mówiłeś, i jakim cudem dzięki nim widzę anioły? I najlepiej zacznij od początku.

Rafael splonął ognistym rumieńcem, ale usiadł posłusznie i w pół godziny później Stella знаła już całą historię swoich narodzin.

A więc matka nie była w szoku... To, co mówiła o aniołach przy jej łóżku, było prawdą...

Stella nie mogła pozbierać myśli. Przecież tak wiele dzieci umiera podczas porodu. Dlaczego akurat jej darowano życie? Nie miała żalu do Rafaela o to, że spóźnił się do porodu, tym bardziej, że opowiedział jej również historię swojego poprzedniego podopiecznego, nałogowego Hazardzisty, który pomimo swojego uzależnienia nie był złym człowiekiem, i o którego duszę —choć brzmi to niedorzecznie — na koniec musiał grać w karty. Ten, który zgarnia po śmierci grzeszne dusze, był ponoć tak wściekły, że przytrzasnął odchodzącemu Rafaelowi skrzydło piekielną bramą...

Z całej tej historii, o ile było w niej choć ziarno prawdy, Stella wywnioskowała, że jej „nowy-stary” przyjaciel nie jest wcale takim niebieskim ptakiem, na jakiego wygląda, i że zależy mu na tych, którymi się opiekuje. A co dziwniejsze... polubiła go tak, jakby znali się od wieków. I w pewnym sensie tak było...

...

Strażnik pilnujący niebieskich wrót nerwowo spojrział w kierunku słońca. Jeszcze dziesięć minut i zakończy dzisiejszą służbę.

Dziesięć minut — to nic w porównaniu z wiecznością, ale dziś te minuty wlokły się w nieskończoność. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył nadlatującego zmiennika. Aramis ze zwykłą sobie energią i wdziękiem wylądował u jego stóp.

— Nareszcie jesteś!